

Spektakularna powieść! Intensywna, wartka, autentyczna.

LEE CHILD

# TONY PARSONS

KRWAWA  
WYLICZANKA

DETEKTYW  
MAX WOLFE  
#1

CZY SĄ LUDZIE, KTÓRZY ZASŁUGUJĄ NA ŚMIERĆ?

# PROLOG

1988

Kiedy skończyli, zostawili ją leżącą na brzuchu na materacu i wyglądało to tak, jak gdyby już nie żyła.

Zgraja chłopaków w piwnicy, chłopaków silnych jak mężczyźni i okrutnych jak dzieci. Wzięli wszystko, co chcieli, więc wyglądało to tak, jak gdyby nie zostało nic więcej.

Nie słyszała już ich głosów tuż przy swojej twarzy, dyszących pożądaniem, napierających na jej ucho. Teraz dobiegały od długiego stołu, przy którym palili, śmiali się i gratulowali sobie nawzajem tego, co zrobili.

Obok leżał jej T-shirt. Gdyby tylko mogła go wziąć. Znalazła w sobie dość siły, by po niego sięgnąć, włożyć go i zwlec się z materaca. Nie mogła zostać w tej piwnicy. Zaczęła się czołgać w kierunku schodów.

Głosy przy stole umilkły. To przez tę fajkę, pomyślała. Fajka ich spowalnia, oglupia i usypia. Dzięki Bogu za tę fajkę.

Miała w ustach krew i bolała ją twarz. Wszystko ją bolało. Krew płynęła z nosa, zalewała gardło i zmuszała ją do powstrzymywania wymiotów.

Zatrzymała się, ogarnęły ją mdłości, a po chwili znów zaczęła pełznąć.

Mięśnie nóg zmieniły się w ciężkie bryły bólu. Nic nie działało tak jak powinno. Wydawało się, że nic nie będzie już nigdy działać.

Wszystko zrujnowane.

Z bezradności mogłaby płakać. Zdusiła jednak łzy, zacisnęła zęby i wytrwale posuwała się w stronę drzwi, centymetr po centymetrze, czując zdartą skórę na łokciach i kolanach, kiedy raz po raz wlokła je po podłodze, bez końca.

W tej piwnicy czaiło się zło.

Nie mogła tu dziś umrzeć.

Nie mogła umrzeć w tym pomieszczeniu.

Z początku myślała, że nie zauważyli. Przez to, co zrobiła z nimi fajka. Przez to, że ich ogłupiła i spowolniła ich ruchy. Bogu dzięki za tę fajkę. Zatrzymała się u stóp schodów, żeby odpocząć, i wtedy usłyszała ich śmiech.

A gdy spojrzała w ich stronę, zobaczyła, że wszyscy się jej przyglądają i przyglądali się od samego początku.

Niektórzy zaczęli szyderczo klaskać.

Potem ten, który był z nich najgorszy, ten gruby, który cały czas do niej mówił i obrzucał ją wyzwiskami, z przyjemnością słuchał jej krzyku i zostawił na niej ślady zębów i paznokci – najgorszy sukinsyn z tej hordy obrzydliwych sukinsynów – szeroko ziewnął, ukazując drogi aparat ortodontyczny, i powiedział:

– Nie możemy jej tak po prostu puścić.

Nabrała głęboko powietrza i położyła ręce na pierwszym stopniu schodów.

Coś było nie tak z oddychaniem. Z powodu nosa.

Na dłoń kapnęła kropelka sinoczerwonej krwi.

Musnęła palcami górną wargę, po czym z ogromnym wysiłkiem dźwignęła się z łokci i kolan na nogi, opierając się o ścianę, zamykając oczy i marząc o śnie.

Ocucił ją ból.

I strach.

I obecność chłopaka.

Jeden z nich stał tuż obok niej z wyrazem złośliwego rozbawienia na twarzy. Ten, który pierwszy się do niej odezwał, zaczepił ją z uśmiechem, udawał miłego i przyprowadził ją tutaj.

Teraz chwycił ją za włosy i przechylił jej głowę na bok. Potem wzmocnił uchwyt, odwrócił się i zaczął ją ciągnąć z powrotem w głąb piwnicy, tego podziemnego pomieszczenia, w którym nie mogła umrzeć.

Nie mając świadomości tego, co robi, gwałtownym ruchem uniosła ręce do jego twarzy i z całej siły wepchnęła mu kciuki do oczodołów.

Głęboko, jak najgłębiej.

Teraz jego kolej, żeby poczuć ból.

Obrzydliwe sukinsyny. Same obrzydliwe sukinsyny.

Oboje stali, jak gdyby spleceni w intymnym uścisku tancerzy: on wciąż z ręką w jej włosach, ona zbierająca resztki sił, by coraz głębiej wciskać mu w czaszkę niebieskie oczy pełne szyderstwa. Nagle jej palce o popękanych i zakrwawionych paznokciach, którymi szukała oparcia w jego gęstych czarnych włosach, przesyłał ból, próbowała złapać nimi jego uszy, puściła, znów złapała, wbijając kciuki coraz głębiej. Potem poczuła, że lewa ręka opada, bo zatoczył się do tyłu, wydając coraz głośniejszy krzyk i wymachując na oślep rękami, żeby ją odepchnąć, ale prawy kciuk pozostał na miejscu i ciągle wbijał się w lewy oczodoł, napierał na gałkę oczną jeszcze przez kilka decydujących sekund, po których poczuła, że nagle przestaje stawiać opór i z mokrym plaśnięciem wpada w głąb czaszki.

Wrzasnął.

Jego wrzask wypełnił piwnicę, wypełnił jej uszy, wypełnił noc. Pozostali zerwali się od stołu, ale nie potrafili się ruszyć, sparaliżowani wrzaskami chłopaka, który właśnie stracił oko.

Po chwili rzuciła się do ucieczki.

Jak ona uciekała.

Pędem wbiegła po schodach.

Drzwi były zamknięte od wewnątrz, ale na szczęście klucz tkwił w zamku – dzięki Bogu za ten klucz. Szarpała się z nim przez moment, słysząc za sobą krzyki, a później wypadła na zewnątrz i ze zdumieniem zobaczyła, że noc się już kończy.

Jak długo ją tam trzymali?

Od drogi oddzielały ją boiska otulone mglistą zasłoną, rozwieszoną na wysokich białych słupkach bramek do rugby w kształcie litery H.

Biegła przez boisko, czując na twarzy wilgoć mgły. Bose stopy ślizgały się na mokrej od porannej rosy trawie, za jej plecami czerniły się piękne i ponadczasowe budynki sławnej starej szkoły.

Biegła, nie oglądając się za siebie i spodziewając się, że lada chwila usłyszy ich głosy, że zgraja dopadnie ją i rozedrze na strzępy.

Ale się nie pojawili.

Za boiskami stał maleńki domek z kamienia, równie niezwykle jak chatka drwała z bajki, ale w oknach było ciemno i nie próbowała się tam kierować. Ruszyła w stronę drogi. Jeżeli uda się jej dotrzeć do drogi, dzisiaj nie umrze.

W połowie dystansu przystanąła, oparła się o słupek bramki i odważyła się spojrzeć za siebie. Nie gonili jej.

Kiedy w bok uderzył ją skórzany pasek, przypomniała sobie, że nałożyli jej obrożę ze smyczą. Zdarła ją z szyi i rzuciła na ziemię.

Na poboczu zatrzymał się jakiś samochód; stał z włączonymi światłami i pracującym silnikiem.

Ktoś ją zobaczył.

Chwiejnym krokiem ruszyła do auta, rozpaczliwie machając rękami, krzycząc, błagając, żeby zaczekali, żeby nie odjeżdżali, żeby broń Boże nie odjeżdżali. Biegła wzdłuż ogrodzenia z gęstej

siatki i szukała w niej luki. Pod bosymi stopami nie miała już wilgotnej trawy, lecz asfalt. Wreszcie wydostała się przez dziurę w ogrodzeniu i biegła po szorstkiej nawierzchni, wołając, by nie odjeżdżali. Wtedy otworzyły się drzwi po stronie pasażera i wysiadł ten gruby, ten, który był z nich najgorszy. Już się nie uśmiechał, miał twarz ściągniętą wyrazem absolutnej, morderczej furii, a ona po raz pierwszy nabrała całkowitej pewności, że umrze właśnie tu, właśnie dziś.

Z samochodu wysiadali następni.

Gruby uchylił klapę bagażnika. Czarna dziura czekała na nią jak otwarty grób.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że słyszy wrzask dobiegający z tylnego siedzenia; ktoś krzyczał o swoim oku.

To ten, którego okaleczyła. Którego oślepiła.

Żałowała, że nie okaleczyła ich wszystkich. Żałowała, że ich wszystkich nie oślepiła. Bóg jej świadkiem, że na to zasłużyli.

Ale było za późno. Już po niej. Poczowała przytłaczające zmęczenie i słabość ogarniające całe ciało. Wygrali.

Ich ręce szarpały z wściekłością, wyciskając z niej resztki energii, a potem unosząc ją z ziemi i wpychając do bagażnika.

Kiedy zatrzasnęła się nad nią klapa, pogрузzyła się w ciemnościach, a samochód wolno wrócił do dostojnej szkoły, gdzie czekała ją śmierć na materacu w piwnicy, w której nigdy nie miała umrzeć.

Na koniec przed oczami stanęła jej rodzina, która już nigdy nie miała jej zobaczyć, a za nią – jak dostrzeżoną mimochodem boczną drogę, w którą nigdy nie skręci – bardzo wyraźnie ujrzała męża, którego nigdy nie pozna, dzieci, które nigdy się nie narodziły, i dobre, pełne miłości życie, które jej odebrano.

Gdy uchodziła z niej dusza, ostatni oddech zmienił się w niemy krzyk wściekłości i żalu za wszystkim, co jej skradli w noc jej śmierci.

# 1

Czekałem na człowieka, który zamierzał zginąć.

Zaparkowałem stare bmw X5 niedaleko wejścia na dworzec kolejowy i wypłem potrójne espresso, obserwując ludzi wychodzących ze stacji i spieszących do pracy. Kawę wypłem dość szybko.

Niebawem tu będzie.

Położyłem na desce rozdzielczej trzy fotografie. Jedną mojej żony i córki. Dwie pozostałe człowieka, który zamierzał zginąć. Paszportowe zdjęcie z ewidencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz tak zwany wrywek z zapisu kamery monitoringu.

Zdjęcie swojej rodziny wsunąłem do portfela i włożyłem go do kieszeni skórzanej kurtki. Dwa zdjęcia człowieka, który zamierzał zginąć, przykleiłem taśmą do deski rozdzielczej.

I obserwowałem ulicę.

Zaparkowałem wóz tyłem do dworca, aby mieć przed sobą szeroką ruchliwą ulicę. Była skąpana w wąłym blasku jesiennego słońca będącego coraz bliższym wspomnieniem lata. W odległości stu metrów ode mnie stała młoda kobieta w stroju sportowym i zaglądała do kiosku z gazetami, a u jej stóp cierpliwie siedział duży owczarek niemiecki na luźnej smyczy i zwróciwszy inteligentny pysk w jej stronę, przyglądał się jej uważnie, zachowując niezmacony spokój w tłumie płynącym ulicą w godzinach szczytu.

- Naprawdę piękny pies – powiedziałem.

W odpowiedzi kobieta uśmiechnęła się i podrapała psa za uszami. Potem w moim uchu odezwał się męski głos, choć nie zwracał się do mnie.

- Delta Jeden, odbiór czysty.

Po chwili rozległy się następne głosy sprawdzające połączenie dla innych znaków wywoławczych i w zgiełku komunikatów zespołu obserwacyjnego usłyszałem wystudiowany spokój, jaki demonstrują policjanci w chwilach wyjątkowego napięcia, podobnie jak piloci mówiący do pasażerów, kiedy palą się wszystkie silniki. Nie ma się czym przejmować, moi drodzy.

Rozejrzałem się po ulicy, szukając vanów, nieoznakowanych samochodów i pieszych funkcjonariuszy w cywilu. Ale wszyscy świetnie się znali na swojej robocie. Nie zauważyłem nikogo oprócz tej kobiety z pięknym owczarkiem niemieckim.

- Delta Jeden – wywołał mnie koordynator obserwacji. – Widzimy cię i słyszymy, Max. Wszystko zależy od ciebie. Czekamy, aż go zidentyfikujesz, kiedy Bravo Jeden znajdzie się w strefie zatrzymania. Zostań w wozie.

Bravo 1 był człowiekiem, który zamierzał zginąć.

- Zrozumiałem.

Następnie usłyszałem znajomy głos:

- Detektywie Wolfe, tu inspektor.

Detektyw inspektor Elizabeth Swire. Moja szefowa.

- Pani inspektor – przywitałem ją.

- Powodzenia, Wolfe – powiedziała. W jej głosie zabrzmiał lekki śmiech, kiedy dodała pod publiczkę: - Słyszałeś. Zostań w samochodzie. Ciężką robotę zostaw silnym chłopakom.

Utkwiłem wzrok w ulicy. Już niedługo.

- Tak jest, pani inspektor – odparłem, spokojny i łagodny jak owczarek niemiecki przy kiosku.

Gdybym przestawił lusterko wsteczne, zobaczyłbym wiktoriań-



ską fasadę hotelu przy dworcu. Wyglądał jak zamek z bajki, którego wieżyczki i iglice sięgały błękitnego nieba, pełnego skłębionych białych chmur. Jak miejsce, gdzie sto lat trwa nie dłużej niż mgnienie oka. Nie widziałem żadnego z silnych chłopaków. Ale w budynku hotelu przy dworcu kryło się ich tyłu, że mogliby rozpętać małą wojnę.

Za firankami i zasłonami czekali funkcjonariusze SCO19, brygady antyterrorystycznej policji metropolitalnej. Każdy z nich był uzbrojony w karabin automatyczny Heckler & Koch G36 i dwa pistolety Glock kalibru 9 mm. Choćbym jednak wyteżał wzrok, nie mogłem ich zobaczyć.

Na miejscu był również oddział pirotechników przysłany z RAF-u. Negocjatorzy. Specjaliści od broni chemicznej i biologicznej. I ktoś do zamawiania pizzy. Mieliśmy też około dwudziestu ludzi w okolicy dworca, lecz widziałem tylko kobietę z psem. Ciągłe słyszałem zgiełk głosów obserwatorów.

- Do wszystkich, meldować. Echo Jeden?
- Ani śladu.
- Victor Jeden?
- Nic.
- Tango Jeden?
- Jest obiekt – powiedział kobiecy głos.

Po raz pierwszy w kawałku plastiku tkwiącym w moim uchu zapadła kompletna cisza.

- Mam obiekt – odezwał się ten sam głos. – Bravo Jeden w polu widzenia. – Nastąpiła przerażająca przerwa. – Prawdopodobnie – dodała kobieta. – Powtarzam, prawdopodobnie mam obiekt.

- Prawdopodobnie – powiedział koordynator obserwacji. – Weryfikacja. Alarm dla wszystkich. – W jego głosie zabrzmiało jeszcze większe napięcie.

Zaraz potem znów usłyszałem ten kobiecy głos, z wyraźną nutą wątpliwości:

- Być może. Czerwony plecak. Właśnie mija British Library. Kieruje się pieszo na wschód, w stronę dworca. Zbliża się do strefy zatrzymania.

- Delta Jeden?

- Zrozumiałem – odrzekłem.

- Gubię go – powiedziała Tango 1, co oznaczało, że straciła obiekt z oczu.

Szybko zerknąłem na fotografie przyklejone do deski rozdzielczej. Właściwie nie musiałem, bo doskonale wiedziałem, jak wygląda. Mimo to przyjrzałem się ostatni raz i znów skierowałem wzrok na tłum.

- Nie widzę go – powiedziałem.

W uchu zabrzmiał inny, bardziej rozgorączkowany głos. Znów kobiety. Policjantki z psem, który przyglądał się jej uważnie, kiedy poruszała ustami.

- Tu Whisky Jeden, Whisky Jeden. Prawdopodobnie mam obiekt. Bravo Jeden. Dwieście metrów. Idzie drugą stroną ulicy. W kierunku wschodnim. Czerwony plecak. Prawdopodobnie obiekt.

Gwar wielu głosów, a po chwili ostry rozkaz uciszający wszystkich:

- Prawdopodobnie. Weryfikacja. Weryfikacja. Alarm dla wszystkich. Delta Jeden, alarm.

Zapadła cisza, zakłócana tylko trzaskami i szumem. Teraz czekali na mnie.

Z początku w ogóle go nie zauważyłem.

Bo wyglądał inaczej.

Szybko spojrzałem na dwa zdjęcia na tablicy rozdzielczej. W niczym nie przypominał tego człowieka. Czarne włosy stały się jasnobrązowe. Zniknęła rzadka broda. Ale były istotniejsze różnice. Zmieniła się twarz. Była pełna, nabrzmiała, jak twarz kogoś zupełnie innego.

Jedna rzecz pozostała jednak taka sama.

– Delta Jeden?

– Mam obiekt – powiedziałem.

Czerwony plecak wyglądał identycznie jak ten z zapisu kamery monitoringu z dnia, w którym w hurtowni farmaceutycznej kupił roztwór nadtlenu wodoru.

Miał ten czerwony plecak, kiedy podszedł do kasy z wózkiem, w którym znajdowało się 440 litrów wybielacza do włosów. Miał go, gdy zapłacił za zakupy 550 funtów w banknotach pięćdziesięciofuntowych. Miał go, kiedy opróżniał z ładunku furgonetkę w garażu, gdzie zainstalowaliśmy kamery.

Nie da się nie zauważyć tego plecaka. Wyglądał jak część ekwipunku wspinacza wybierającego się na Mount Everest. Duży, neonowy czerwony, jak nazywa się ten kolor.

Jednak twarz była inna. To mnie zbiło z tropu. I miało mnie zbić z tropu. Twarz została czymś napompowana. Zamierzał iść na spotkanie śmierci z twarzą kogoś innego.

Ale już to zrozumiałem.

Nie było wątpliwości.

– To on – powiedziałem. – Mam obiekt. Coś ze sobą zrobił. Nie wiem. Coś z twarzą. Ale to on. Obiekt. Potwierdzam tożsamość. Mam obiekt.

– Snajper Jeden, obiekt w zasięgu – odezwał się czyjś głos i po drugiej stronie ulicy po raz pierwszy zobaczyłem strzelców, trzy sylwetki poruszające się po dachach nad pasażem obskurnych sklepików i restauracji. Promienie słońca odbijały się od broni policyjnych strzelców wyborowych zajmujących pozycje.

Byli naszą ostatnią deską ratunku, gdyby wszystko poszło nie tak. A właśnie zaczynało iść nie tak.

– Snajper Dwa, obiekt w zasięgu. Ale nie ma warunków do strzału. Nie mam czystej pozycji. Za gęsto na dole.

Mężczyzna z czerwonym plecakiem przystanął po drugiej stro-

nie ulicy, czekając na zmianę świateł. Z hukiem przetoczył się sznur pojazdów, między którymi przeblyskiwała neonowa czerwień. Dotknąłem słuchawki w uchu. Nagle wszyscy przestali się do mnie odzywać.

– To on – powiedziałem. – Potwierdzam tożsamość. Mam obiekt, mam obiekt, odbiór.

Zapaliło się zielone światło i samochody niechętnie wyhamowały. Tłum ludzi przelewał się na drugą stronę ulicy. Człowiek z czerwonym plecakiem ruszył z falą.

Powiedziałem powoli i wyraźnie:

– Delta Jeden, potwierdzam kontakt. Obiekt za chwilę wejdzie w strefę zatrzymania. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór.

W odpowiedzi usłyszałem tylko radiowy szum.

A potem:

– Prawdopodobnie. Weryfikacja. Wszyscy w pogotowiu.

Pokręciłem głową i chciałem się znowu odezwać, kiedy zabrzmiał spokojny głos inspektor Swire:

– Wynik negatywny, Wolfe. To nie on. Wynik negatywny. Koniec akcji.

Następnie głos koordynatora obserwacji:

– Wynik negatywny. Koniec akcji. Do wszystkich stanowisk, alarm odwołany.

Na ulicy znowu zmieniły się światła.

Człowiek z czerwonym plecakiem znalazł się po drugiej stronie jezdni.

Zmierzał w kierunku dworca.

– Spodziewacie się, że będzie ubrany w burkę? – powiedziałem. – To Bravo Jeden. Nasz obiekt. To on. Jego twarz...

– Rysopis się nie zgadza – przerwał mi koordynator. – Nie mamy potwierdzenia tożsamości, Delta Jeden.

Po chwili znów Swire:

– To nie on – powtórzyła. – Przestań dyskutować, Wolfe. –

W jej głosie zabrzmiał surowy ton. – Miałeś jedno zadanie. Zostało zakończone. Nie ma potrzeby dalszych działań. Odwołujemy alarm dla wszystkich stanowisk. Wynik negatywny. Koniec akcji. Dziękuję wszystkim.

Tłum zwolnił przed dworcem, mieszając się ze strumieniem ludzi napływającym z King's Cross. Oceeniłem, że mam minutę, by go zatrzymać, zanim zniknie w budynku dworca. Kiedy człowiek z czerwonym plecakiem znajdzie się w pociągu, w metrze albo w holu dworca, wystarczy, że zetknie dłonie, a świat rozleci się na kawałki.

Łącząc baterię, którą prawdopodobnie trzymał już w jednej ręce, z prostym zaciskiem w drugiej, zamknę obwód elektryczny. Następnie prąd przepłynie dwoma przewodami do wnętrza czerwonego plecaka – w bocznej ścianie została zapewne wycięta dyskretna szczelina – gdzie zmodyfikowana żarówka odpali detonator wewnątrz niewielkiej rurki. A to spowoduje wybuch głównego ładunku, sporządzonego z perhydrolu, za który zapłacił jedenastoma pięćdziesięciofuntowymi banknotami, co widziałem na obrazie z kamery.

Równocześnie kupił hurtową ilość sześciocalowych stalowych gwoździ. Całe worki. Były pewnie przyklejone na zewnątrz głównego ładunku, żeby zadać jak największe cierpienia kilkuset osobom.

Jeżeli bomba eksploduje.

Jeżeli facet okaże się na tyle sprytny.

Jeżeli przygotował ładunek według przepisu i niczego nie spałał.

Opanowałem mdłości, przetykając gorącą kulę żółci, która podeszła mi do gardła.

– Mylicie się – powiedziałem. – To on. Obiekt.

Byłem w jego garażu. Widziałem setki pustych butelek po wybielaczu do włosów. Oglądałem film z monitoringu z dnia,

w którym je kupił, dopóki oczy nie zaczęły mnie piec od jego widoku.

Nie potrzebowałem zdjęć przyklejonych do deski rozdzielczej. Znałem go. Jego wygląd miałem wryty w głowie.

Przede mną nie mógł się ukryć.

– Do wszystkich, alarm odwołany – mówił głos w słuchawce z wystudiowanym spokojem. – Zrozumiałeś mnie, Delta Jeden?

– Nie – odparłem. – Coś się dzieje z połączeniem.

Zostało trzydzieści sekund.

Otoczony tłumem przechodniów i mnóstwem uzbrojonych ludzi, zostałem sam na sam z człowiekiem, który zamierzał zginąć.

. . .

Słuchałem kiedyś wykładu na akademii policyjnej w Bramshill w Hampshire – odpowiedniku Oksfordu i Cambridge w policyjnym szkolnictwie wyższym.

Przyleciał do nas wtedy agent FBI, żeby nam pomóc w zwalczaniu terroryzmu. Byłem pod wielkim wrażeniem bieli jego zębów. Miał doskonałe uzębienie. Bardzo amerykańskie. Ale jeszcze większe wrażenie zrobił na mnie fakt, że ten człowiek znał się na swojej robocie.

Błyskając lśniącoymi zębami, poinformował nas, że FBI zidentyfikowało dwadzieścia pięć obszarów zagrożonych działalnością terrorystyczną. Nie był to katalog miejsc od A do Z, ale prawie – od A do S, od autobusów po studia tatuażu.

W zasadzie wszędzie.

Federalny sugerował też, jak mogą wyglądać potencjalni terroryści.

W zasadzie jak każdy.

Studenci w Bramshill, najbystrzejsi i najlepsi, wszyscy ci gli-niarze robiący szybkie kariery, nowe pokolenie wydziału krymi-

nalnego, młodzi, twardzi i inteligentni, prawie co do jednego zmoczyli się ze śmiechu. Ja jednak, w odróżnieniu od reszty, nie uznałem wykładu za stratę czasu. Wręcz przeciwnie. Bo zapamiętałem podany przez agenta FBI potencjalny wskaźnik numer jeden.

Podejrzany w znaczący sposób zmienia swój wygląd.

Chociaż moi koledzy złośliwie uśmiechali się pod nosem i przewracali oczami, doszedłem do wniosku, że to uwaga warta odnotowania. Nigdy nie możesz przeoczyć rzeczy oczywistych. Nie spodziewaj się, że będzie wyglądał jak na zdjęciach albo obrazach z monitoringu. Przygotuj się na to, że będzie wyglądał jak ktoś zupełnie inny.

Agent FBI mógł wspomnieć o jeszcze jednym szczególe. Podejrzany, który w znaczący sposób zmienia wygląd, nie będzie sobie sprawiał nowej torby.

. . .

– Ten sam plecak – powiedziałem, otwierając drzwi samochodu. – Z monitoringu. Czerwony plecak. Kiedy kupował sprzęt. Czerwony plecak. Od samego początku. To ten czerwony plecak. I to on.

– Nie wolno tu parkować, kolego – powiedział przez okno ktoś z afrocockneyowskim akcentem, a ja drgnąłem zaskoczony na dźwięk głosu, który nie dochodził z wnętrza mojej głowy.

Funkcjonariusz służby drogowej wypisywał mi mandat. Wysiadłem z samochodu. Wysoki mężczyzna z Afryki Zachodniej, z plemiennymi bliznami na policzkach cofnął się o pół kroku, spodziewając się kłopotów. Patrząc ponad jego ramieniem, dostrzegłem człowieka z czerwonym plecakiem.

Tłum na ulicy zdążył się już przerzedzić.

Człowiek za chwilę miał wejść na dworzec.

Piętnaście sekund.

Nagle w mojej głowie odezwał się głos:

- Tu inspektor Swire. Cholera, wsiadaj z powrotem do wozu,  
Wolfe.

Przestała udawać spokój.

Zawahałem się przez moment.

A potem wsiadłem do samochodu.

Funkcjonariusz wsuwał mandat za wycieraczkę. Pokręciłem głową i zerknąłem w lusterko wsteczne. Człowiek z czerwonym plecakiem znalazł się bezpośrednio za mną, stając przed głównym wejściem na dworzec. Tłum przechodniów topniał. Nic nie mogło go już powstrzymać przed wkroczeniem do budynku. Ale zatrzymał się tuż przed nim.

Coś do siebie mówił.

Nie.

Modlił się.

Dziesięć sekund.

Człowiek z czerwonym plecakiem ruszył naprzód.

Dziewięć sekund.

Wrzuciłem wsteczny.

Osiem sekund.

Obróciłem się na siedzeniu i wcisnąłem pedał gazu do deski.

Samochód wyrwał do tyłu, a ja patrzyłem na człowieka z czerwonym plecakiem, pędząc prosto na niego. Mocno oparłem rękę o fotel pasażera, przygotowując się na uderzenie, a dłońią na kierownicy bez przerwy wciskałem klakson, płosząc zbłąkanych podróżnych.

Człowiek z plecakiem ani drgnął.

Lecz patrzył mi w oczy, gdy stare bmw mknęło w jego stronę, i przestał poruszać ustami.

Pięć sekund.



Rozpędzony wóz rąbnął w niego tuż powyżej kolan, gruchocząc mu kości udowe obu nóg, a jego tułów uderzył w tył samochodu. Jego twarz roztrzaskała tylną szybę, tylna szyba zaś zrobiła to samo z jego twarzą.

Chwilę później siła uderzenia cisnęła nim o mur z czerwonej wiktoriańskiej cegły, na którym tył jego głowy eksplodował jak jajko na miękko potraktowane młotem kowalskim.

Trzy sekundy.

Wrzuciłem bieg i pomknąłem z powrotem na przeciwległy koniec placu przed dworcem, gdzie stał funkcjonariusz służby drogowej i skamieniały gapił się na mnie z otwartymi ustami, ciągle trzymając w ręce automat do mandatów.

Znów przestawiłem dźwignię na wsteczny, gotów ruszyć jeszcze raz.

Ale nie było potrzeby ruszać jeszcze raz.

Zero.

Wolno wysiadłem z samochodu.

Otoczał mnie krzyk ludzi. Krzyczeli podróżni na placu. Krzyczały głosy w mojej głowie. Jakiś pies szczekał zajadle, szybko się do mnie zbliżając.

Jeden głos w moim uchu krzychał coś o rażącym przekroczeniu obowiązków i nieumyślnym spowodowaniu śmierci. Inny o morderstwie.

- Wolfe!!!

Swire.

Wyrwałem z ucha słuchawkę i wyrzuciłem ją.

Człowiek z czerwonym plecakiem siedział oparty plecami o ceglany mur, patrząc prosto na mnie, z wyrazem zdumienia na zmasakrowanej twarzy. Jego dłoń wciąż podrygiwała w pośmiertnych drgawkach. Obie ręce miał puste.

Nie spodziewałem się, że będzie miał puste ręce.

Nagle wokół mnie zaroilo się od uzbrojonych ludzi w kominiarkach. Lufy skierowały się na martwego mężczyznę. Pistolety Glock kalibru 9 mm. Karabiny automatyczne Heckler & Koch. Po chwili zauważyłem, że niektóre są wycelowane we mnie.

– To był nasz obiekt – powiedziałem.

Uzbrojeni funkcjonariusze SCO19 byli wszędzie. Podróżni biegali i czołgali się, szukając schronienia. Wiele osób krzychało i płakało z przerażenia, bo ludzie z bronią ani trochę nie wyglądali na policjantów. Mieli na sobie kamizelki kuloodporne, a na ramiach metalowe karabińczyki, aby łatwiej można ich było odciągnąć, gdyby dostali. Nosili czarne kominiarki z otworami na oczy i usta. Wyglądali jak paramilitarna banda złodziei podczas skoku na bank.

Ludzie myśleli, że kominiarki mają chronić ich tożsamość, ale ja wiedziałem, że mają budzić grozę.

I budziły.

Wołali do nadajników radiowych przymocowanych tuż nad sercem. Zamaskowane twarze ryczały na mnie, każąc mi się położyć na ziemi i nie ruszać.

Na ziemię. Już! Już! Już!

Wolno wyjąłem z kieszeni dzinsów legitymację, pokazałem i rzuciłem w ich stronę. Potem podniosłem rękę. Nie zamierzałem jednak klękać przed nimi. Nie zamierzałem kłaść się na brzuchu. Szedłem w stronę człowieka siedzącego pod murem.

Musiałem się przekonać, czy miałem rację.

Masz ostatnią szansę! Na ziemię!

Kucając nad zwłokami, zobaczyłem, że uderzenie nie spowodowało pęknięcia tyłu czaszki. Tył czaszki przestał istnieć.

Na chodniku utworzyła się już lepka plama krwi.

Wokół mnie rozlegały się krzyki przerażenia i wściekłości. Pies był tak blisko, że mogłem poczuć jego zapach, tak blisko, że mogłem poczuć ciepło jego oddechu.

Kątem oka widziałem dziwne, tępe nosy glocków wycelowane w martwego człowieka na ziemi, a także w moją twarz. Pistolety były odbezpieczone.

Ale przecież to był on, prawda?

W zdumieniu spojrzałem na swoje ręce.

Były pokryte krwią zabitego mężczyzny.

Jednak nie drżały, kiedy pośpiesznie otworzyłem czerwony plecak i zajrzałem do środka.